

M. STAWISZ.

# GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

28

I.

Rzecz cała kategorycznie przez matkę przedstawiona jej została, głosem nakazującym, nie pozwalającym buntowi i oporowi.

Kiedy Gawlik, który bądź co bądź najwięcej z całego domu czuł dla niej pobłażania, uściskał ją, wieszając świetnego losu, Stasia zdobyła się na odwagę i ze łzami w oczach szepnęła:

— Tatu, ale ja tego pana nie kocham wcale... nie znam go prawie... ten człowiek nie budzi we mnie zaufania.

Gawlik roześmiał się serdecznie.

— Oj, ty romansowa główko! — zawołał. — Nie kocham. Wy wszystkie tak przed ślubem mówicie, a potem to sceny zazdrości mężowi wyprawiacie. Będziecie mieć dosyć czasu potem do wzajemnego poznania, aż nadto. No, no, tylko nie grymasz — dodał zimno, widząc, że słowa jego wywołały tylko większy smutek i niepokój na twarzy córki. — Dzieciak jeszcze jesteś, więc powinnaś zaufać rodzicom. Oni za ciebie muszą mieć rozum i zastanowienie.

Stasia zrozpaczona odeszła do swojego pokoju i łkając cicho, rzuciła się na łóżko, twarz kryjąc w poduszkach. W głowie jej panował żmęt ogromny.

Jakże to? Więc można tak rozrządać cudzą wolą i sercem jak swą własnością? Wolno jednym słowem, jednym zamiarem zniszczyć na zawsze życie cudze, zabić w niem najserdeczniejsze, ukrywane jak świętość nadzieje, całą jasną, radosną przyszłość, wymarzoną w nocach bezsennych, zdmuchnąć z przed nosa; jak nikły ogień świecy? I tę zbrodnię popełniają ludzie, którym sama natura nadała rozkaz i obowiązek otoczenia opieką jej młodego życia, odsuwania od niego wszystkiego, co złe, brzydkie lub smutne! Więc cóż się stanie z tym instynktownie zakorzenionym w niej szacunkiem, wiarą i przywiązaniem dla rodziców, skoro ci ludzie właśnie, ci, od których tylko dobro ku niej płynąć powinno, okazują się dla niej tak bezwzględni i okrutni? Cały gmach młodych, naiwnych wierzeń Stasi runął w jednej chwili, jak gdyby poderwany niszczącą wichurą. Już teraz nie można było ludzię się dalej, ani liczyć, że czas złagodzi ich niechęć do jej najgorętszych pragnień! Za wielką przestrzeń dzieliła ją teraz od towarzysza zabaw dziecińczych i najdroższego przyjaciela! Czuli przytem, że nie znajdzie w sobie może nigdy odwagi, aby w tym domu, który stał się jej zupełnie obcy i wrogi, ośmielić się wspomnieć o Franku? Już słyszy szyderczy, pogardliwy, doikliwy jak cięcie spicrutą śmiech matki i Kazi i te straszne, obelżywe słowa, wybiegające jak lawa gryząca z ich ust! Nie! ona nawet pozwolić nie może, aby Franka, jej Franka, miano w tym domu obrażać. Oni go nie znają, tak, i to jest także jedna z ważnych przyczyn, inaczej nikiby tu nie mógł go dotknąć choćby jednym słowem.

Tłusta, cyniczna, o małych, przebiegłych oczach twarz młodego Markiewicza zamajaczyła przed oczami Stasi.

Wzdrygnęła się całym ciałem i twarz jeszcze głębiej ukryła w poduszkach. Czy można go było porównać z szlachetną postawą Franka, z jego rozumem, głębokim spojrzeniem? To samo było już obelgą dla niego!

I czemuż zajmował się tamten wstrętny człowiek, jakie myśli i zamiary przebiegały pod tem czołem zarośniętym głęboko, na którym już hulaszczę życie wyżyłoby przedwcześnie bruzdy?

Zdaleka, jak gdyby przygnany jakąś falą ozy-

wczą, zadzwierał w uszach Stasi, niski, melodyjny głos Franka, wymawiający tam, w pokoju Felki, jakieś słowa, pełne cudownych brzmień i znaczenia, pod wpływem których otwierała się jak kwiat do słońca nieświadoma jej dusza, chłonąc je z gorączkową chciwością.

Ona takich słów nie słyszała nigdy w domu! Tamten mówił o koniecznej, pięknej, braterskiej miłości pomiędzy ludźmi, głosił równość, zbratanie się dusz wszystkich, nawoływał do wspólnej pracy nad dobrem tych najbardziej wydziedziczonych i nieszczęśliwych — a tu słyszała tylko, że pieniądź jest największą siłą życia, że on tylko stanowi o wartości człowieka i że ludzie, którzy nie potrafią otoczyć się złotem, nędznie są tylko istotami, nie wartymi szacunku i litości.

I ona miałaby sprzeniewierzyć się jego i swoim przekonaniom i stać się jedną z tych, które biorą z życia migośliwe jego wartości i wygody, kosztując łez i ciężkiej pracy drugich? Nie! Nie! To niemożliwe! W pierwszej chwili zniewolona słowami matki, mogła przytłumić w sobie, pozornie zgodzić się z jej wolą, ale ona ma prze-



— Róziu, — rzekła do pokojówki, która po chwili weszła, uśmiechając się życzliwie. — Ja wyjść muszę.

cięż prawo rozporządzać życiem swoim według własnych upodobań i uczynić coś musi, aby się uwolnić z tych więzów, narzuconych jej przemocą.

Stasia podniosła się z łóżka i otarła oczy. W oczach jej zaczerwionych od płaczu zabłysnął wyraz postanowienia i duchowego wysiłku.

Zmrok letni już zapadał. Za godzinę najdalej trzeba będzie zejść do salonu i uśmiechać się do gości zaproszonych na dzisiejszy wieczór. To było już nad siły Stasi!

Musi się uwolnić od tej pańszczyzny.

Poprawiła na sobie ubranie i udała się na poszukiwanie matki. Zastąpiła ją w sypialnym pokoju w towarzystwie Kazi, wyświeżonej już, gotowej do przyjęcia narzeczonego.

— Mama wybaczy, że nie pokażę się dzisiaj w salonie — wymówiła głosem spokojnym i stanowczym. — Ale głowa mnie szalenie rozboleła i chcę się położyć zaraz. Proszę nie przysyłać nikogo do mnie z kolacją, bo nic jeść nie będę. Chcę tylko wypocząć i zasnąć.

Gawlikowa spojrzała ze zdumieniem na Stasię. Nigdy jeszcze tak kategorycznie nie stawiała żadnego żądania. Uderzył ją także wyraz jej

tworzy blady i surowy, a spojrzawszy jej w oczy, zmieszała się trochę.

— No, dobrze, dobrze — odparła łaskawie. — Rzeczywiście okropnie wyglądasz. Markiewicz nie przyjdzie dzisiaj, więc wypocznij, abyś na jutro dobrze wyglądała. Wzruszenie ją tak z nóg zważyło — zaśmiała się do Kazi, przypinając pęk kwiatów do stanika. Ty, to całkiem inaczej wyglądałaś nazajutrz po oświadczeniu się Gucia.

Stasia wyszła z sypialni i udała się do swojego pokoju, gdzie zadzwoniła na służącą.

— Róziu, — rzekła do pokojówki, która po chwili weszła, uśmiechając się życzliwie. — Ja wyjść muszę.

— Ależ proszę pani — zdziwiła się Róża — Goście zaraz się schodzić zaczną.

— Ja ich przyjmować nie będę — odparła z błyskiem buntu w oczach Stasia. — Słuchaj no, Róziu, jesteś mi życzliwa, prawda?

— Ja jedną panienkę najwięcej z całego domu lubię — oświadczyła dziewczyna.

— Więc zechcesz może oddać mi przysługę. Ja wyjść muszę, ale nikt o tem wiedzieć nie

może. Powiedziałam, że jestem słaba i że się położę. Jak wyjdę, zamkniesz więc pokój na klucz i powiesz, że prosiłam, żeby mnie nikt nie budził. A ja kiedy wrócę, zapukam na ciebie do drzwi kuchennych i przyjdiesz mi otworzyć sama od frontu. Nie chcę, żeby mnie Franciszek widział.

— Dobrze, proszę pani — uśmiechnęła się Kasia. — Późno paniuszka przyjdzie?

— Nie, starać się będę być tu przed dziesiątą.

Po odejściu służącej Stasia przedko zarzuciła na siebie płaszcz i kapelusz i wybiegła na ulicę.

Po raz pierwszy w życiu postępowała tak samowolnie, posługując się kłamstwem, aby zapewnić sobie chwilę swobody.

Ale w Stasi od kilku godzin zaszła wielka zmiana. Nie była to już cicha, wiecznle podlegająca cudzym wpływom i kaprysom dziewczyna. Przekonawszy się, że na względność i wyrozumiałość rodziców liczyć nie może, przestała się już lękać, nie poczuwając się do żadnej solidarności względem nich. Na własnych siłach tylko opierać się mogła w bronieniu swojej wolności i szczęścia.

Biegła teraz podniecona walką do Kuźmów, mieszkających prawie na drugim końcu miasta. Chciała pomówić z Felką, rozmówić się ostatecznie z Frankiem i wspólnie obmyśleć sposoby ratunku.

Weszła zdyszana szybkim biegiem i wzruszeniem, które ją w ostatniej chwili ogarnęło.

Z Frankiem nie widziała się dawno. Od Felki tylko wiedziała, że smutny jest i zniechęcony i uchyla się od rozmowy z nią, spędzając wolne godziny od zajęcia na dalekich przechadzkach za miasto lub na czytaniu.

Bo jeżeli teraz, rzeczywiście zniechęcony i urażony w swojej miłości własnej, sam zechce odstąpić od dawnych zamiarów, widząc bezskuteczność swoich i jej wysiłków — to co będzie?

Świat wydał się Stasi nagle bardzo smutny, ludzie nielitościwi i źli. Energia opuściła ją zupełnie i blada bez słowa stanęła przed Felką, która wybiegła na jej spotkanie.

— Stasi! — zawołała ucieleszona — A ty skąd się tu wzięłaś! Myślałam, że już nigdy nie będziesz mogła do nas zajrzeć! Coś się stać musiało, — prawda? bo nie przypuszczam, żeby matka twoja okazała się niespodzianie tak wspańiałomyślną i pozwoliła ci tu przyjść do swobodnie.

— Tak, Felka — wyszeptwała Stasia, siadając bezwładnie na małej kanapce pod oknem. Stało się coś i przyszedł do was po radę.

— Czekaj, czekaj, zaraz zawołam Franka! — zawołała Felka, wybiegając. — Musi być jeszcze w domu. Miał po kolacji pójść się przejść na Błonia. Dopiero się ucieszył!

Powróciła po chwili, prowadząc ze sobą brata.

(Ciąg dalszy nastąpi).